

mój drogi, poczęstuj się cuksem, napij likieru.

i



wiersze napisał Przemek Łośko,

któremu udało się oswoić pepika, przeżyć i napisać o tym przeżyciu

książkę zrobił Marek Trojanowski i wie, że reszta zrobi się sama

*są wiersze i wiersze
to są właśnie te wiersze*

Ilionowski

pepik spogląda w niebo

czy po zabiegu powiększenia ust
można od razu całować? pepik spogląda w niebo
i duma nad zastosowaniami botoksu. wszystkie
wypełniacze ulegają degradacji, dlatego pepik
prezentuje poziome zmarszczki na czole, bruzdy
nosowo-wargowe z uporem godnym i gapi się
w punkciki na niebie przymierzając je do skroni -
a to koronę północną, a to laur węzownika -
wymyślając poemat dydaktyczny w dwóch tysiącach
heksametrów.

jeden z wielu przykładów dziedzicznej deformacji
dający się zaobserwować w 1800 pokoleniach rodu:
niech inni mają wojny, a dla pepika będą gwiazdy,
des knabes wunderhorn i wałek podatkowy,
no i wspomniane, powiększone usta, habsburskie wargi.

Pepiczek poznaje Cesarza Wszystkich Szadoków

Cesarz udzielił mi audiencji po wstawiennictwie na właściwym szczęblu. Liczyłem na to, że Cesarz, będąc magiem i pomazańcem zna odpowiedź na dręczące mnie pytanie: jaka jest natura następnego kroku?

Wszak musiał Wielki N. objawić mu tę wiedzę, żywiłem nadzieję, wszak każdy przekrój musi mieć swoje źródło. Dywan puszył się na mnogich stopniach, złapałem zadyszkę, a jeszcze nie dotarłem do wrót pałacu.

Usłyszałem: mój drogi, poczęstuj się cuksem, napij likieru. Trzymaj na języku słodycz. Nie oblizuj warg, pozwól, aby cukier zbierał się na ich powierzchni, żeby ściekał leniwą, słodką strugą na brodę. Zgadnij, gdzie spadnie kropla, ciężka od słodyczy.

pepik wstępuje na wielką, pomarańczową drogę

i uśmiecha się, uśmiecha szeroko, przymierza
purpurowe kozaki, przymierza złote oko
i w pomarańczowe ubiera się loki

czy droga za nim jest złota, przed nim co wąskie
zatoką - któż wie, i czy w przystani
pomarańczową łodzią Pani, tego również

nikt nie wie, a przecież nie sposób, płotkiem,
latawcem, kapiszonem, kotkiem
zatrzymać pomarańczowej piosenki, odebrać
pomarańczowej panienki, nie, do jasnej anielki

fafik, pierwszy uczeń pepika

czyni nieopatrznie wyznanie, po czym zostaje
wezwany w charakterze świadka
na wieczór autorski plemienia Pulpów,
dla których delikt pióra i papieru (w skład
którego, jak wiadomo, wchodzi najczęściej
substancje klejące, wypełniające i barwiące
przypadkowo sprasowane włókna) stanowi
komentarz i samoistne źródło zobowiązania
do odszkodowań nadzwyczajnych: sławy,
poważania oraz więcej niż nadobnych
igraszek w parkach i ogrodach działkowych.

pepi, pan i dobroczyńca szorstkomordego koncypienta
nie mógł nie zażądać konfesaty. z duszą na ramieniu
przygotowuje zatem fafik raport w tabelach przestawnych,
korzy się ośmiokrotnie przed lustrem w przedpokoju
i rozmyślając nad wyznaniem drugim pisze skromną
prośbę do wszechwiedzących Pulpów o przypomnienie
treści swojego pierwszego wyznania, które równie
beztrosko jak poczynił - zapomniał

pepik kupuje pompkę, pulower i poduchę w desenia

pasażerom, dżdżownicom, biletom miesięcznym na okaziciela, a także Stronnictwu Wydmuszki

będąc adoratorem purnonsensu pepik zaopatrzył się w pompkę do powiększania gadżetów. nabył natychmiast od żabki chleb, masło roślinne, serek wiejski, pesto a z wykwintu - nerkowce i sos vinegrette. na zebrze wyprzedził Mrocznego w wersaczu, który jak fama niosła tworzył dla nadziei i piękna uduchowione teksty o życiu porannym rencistów i licencjatu

pepik zrobił popas. wyjął poduchę z poliestrowego plecaczka, fuf fuf i jeny! katedra! lecz owoż Mroczny minął to świadectwo wiary obojętnie, przeto dzięki tobie składając pepik wziął chleb, łątał i smarował masłem roślinnym, wiejskim serkiem i rozdawał z pesto, wraz z uczniem swoim, szorstkowłosym fafikiem. oni to dla nas, i dla naszego rozbawienia, wzięli pompkę i rozmnażali wykwint wiktuału, iżby nikogo w głodzie nie zostawić

ale i temu świadectwu Mroczny nie dowierzył, atoli targały nim sprzeczne uczucia, bo jego dramatycznie uformowane czoło przecięła zalotnie bruzda intelektu, a kroki, dotąd chyże i nerwowe, zyskały dostojęstwa i powagi. tymczasem pepik, przynajmy przypadkowo, pompnął jeszcze raz i wnet las drzew nerkowca porósł Mostową, Groblę, gminę, powiat, a nawet województwo.

I otworzyło się przed fafikiem, pepikiem i Mrocznym, rencistami oraz licencjatem Niebo Poznania. I runęli z jękiem śmiertelnym na kolana dzięki Tobie składając, a Ty błogosławiłeś i rozdawałeś pompki oraz uwagi o filozofii Wittgensteina w wydaniu podręcznym

pepik opowiada, a pepik słucha o rzece dobrych przepowiedni

i nie mogąc otrząsnąć się z wody mystic road
powraca w myślach do chwili pośrodku drogi.
głos, który miał za swój, wieszczy mu stając
na wysłużonym otoczaku, że wątpliwość
bez tożsamości jest ledwie lizajem jak
tamten ostatni, jasny wers: czy zwątpisz?
pepik słyszy swój głos, a potem poddaje się
złudzeniu, że głos dobiegnie go z jeszcze
starszego otworu na inkaust rondem nowalijki:

"obie strony królewskiego traktu porosną zaroślem
lawendy, błękitną, żółtą i różową cystą, makiem,
chabrem, bławatkiem. ty jednak dotknij, dotknij,
dotknij ciemnopurpurowej gądzieli, dotknij asfodeli"

pepik wychodzi z pieśni na opuszczenie żagli,

choć dopłynąwszy za wyspy zielone
do syren o najpiękniejszych brwiach,
łędów niebieskich, pepik już tańczył z jedną
dłonią otwartą ku Niemu, drugą spowitą w mgłach.

pepikowi znów się marzy, że przemierza
nieznane ligi wzdłuż i z dala od przylądków,
że studiuje portulany i przywraca wiatr
pomiędzy rumbami pewności i wielkiej

ciszy jaka rodzi się w nim samym -
nieważne w oku, czy poza okiem cyklonu

i, że sześć cyklonów wtóruje w rozmarzeniu: oe, oe

fafik wytyka brak eufonii

puszczykowi, poprawia kokardę, ćmi cygary
i miast walnąć w dziób - rozrzewnia się.
konstatuje, że prymat stylu jest nieodzownym
uzupełnieniem prymatu rozumu. pysznie walczy

z patosem i harmonią teatralnego słownictwa.
ptaszyna rozkrawa bergamutkę w trójkąty
i myśli z troską o panu swoim, aniele czeluści.
podopieczny winien oględnie wierzyć rozterkom

zmysłów, subtelnym i dyskretnym wzruszeniem,
mniema. co nieskalanie ożywia mistrza, może mniej
niż z grubsza dekoruje pomarłych zwycięzców
i psi pysk hektora z giętkim uchem prawdy?

człowiek podziemny zaprasza pepika na kolację,

stawia lampę z makro i bierze pod skrzydła puszczyka z nefrytowym podbrzuszem. twierdzisz, że jesteś samotny, że wygładzają się kontury rzeczy, że obrus zsuwa się na stopy, a kropla wody po liściu anturium

nie pozostawiając wilgoci? to ciekawe, posapuje podnosząc oczy i od niechcienia przewraca lampę. niezwykle, podkreśla z przesadą, ale czy idziesz za głosem, niechby swoim albo biblijnej czerni,

której nie docieciesz? ufać sprzeczności to nie to samo, co iść za głosem. to iść przed nim, a mimo to ufać, rozlega się nad dymiącym półmiskiem jaspisowe zgrzytnięcie pepika, puszczyka albo ciepłego posiłku.

pepik mierzy się z wojownikiem bez poczucia humoru,

a przy tym nie opowiada się za żadnym pytaniem,
mimo, że nadal je zadaje. oddani pod komendę
wojownika kanonierzy pucują bombardę, mierzą

pepik chce wierzyć, że się nie uchyla, że pocisk
wyrządzi szkodę, której nie ujmie w spisie

jasne, że wie, wie na pewno, że się nie uchyla.
wie, że zadaje pytania ślepy na listy, zestawienia,
robocze kopie odpowiedzi, głuchy na dźwięczność
i doniosłość sedna, oszukańczy rygor aforyzmu

wie, no serio wie koniuszkiem opierzonego
opuszka, że daje i odbiera ciało – jedno

pepik układa wiersz o swoim samcu alfa,

który w nim siedzi jak zdanie wtrącone w wypowiedź
luźno związaną. słońce podświetla kwiaty na firance,
buzuje czajnik, sznurek nad kuchennym blatem wyznacza
granicę gładzi szpachlowej, której nową warstwę
wnet samiec ułoży dla swojej samicy. obok arabika,
z fusami i mlekiem - są real quality - lutownica z resztką
kalafonii na ostrzu, ścinki izolacji, unigrunt i podróba
boscha: wiertarka z przeceny. tak się rządzi maczo.

pepik wyświetla samca na ekranie powiek, wciąż najbliższej
ścianie, rozważając odbite, czy przechodzące rzucać
snopy na statyczny obraz. taki epidiaskop najmniej
mu się marzy, który projektuje w przyszłość bez
powrotu fali, minichrony, blackoutu, rozszczepienia
smaku i siódmego zmysłu na sto równorzędnych,
albo nawet milion w harmonijnych rzędach. znów
sięga po kawę, siorbie, bierze przymiar i docina listwę
pod płytki na ścianę. jakoś się to zmierzy i jakoś się utnie.

p.s.

*Tobie E., bo różne są stany, i żaden - mam
w sukni zmysłów najczystsza! - żaden wybrany*

pepik odkrywa prawidłową postać wielościanu:

paszportuje się przez szkocką
i siup! do wnętrza brygandyny
(mnogosię odłożyło, ot tak, łonowy język,
wstało i przesączyło naparek z miodokrzewu).

- pepik rozważy teraz kwazuary i równania
biegle ojejsze od twierdzeń o średniej -
z lubością, jak mu się zdaje. lichy wie,
kiedy zełże sześć liczb głównych
i zaś zmieni w coś teraz i tu. zełże?

zełże, wie, że zełże i będzie opóźniać
zimowanie. zełże, żeby nie przeciągała
się podróż nad wewnętrzny zgrzew
i mare poza linią brzegową nitów.
zełże błękit spiki, nawigacyjnej gwiazdki,
zełże dzety po marzeniu o prędkości,
zełże rozkulanie egzotycznej materii,
a w niej przeciwechem niepodróż,
podróż, brzeg, neutralną tęczówkę.

był to wiersz dla weroniki w obsadzie:

*aniot – nieobecny albo pod sykomorem zadaje kłam
fafik – nieobecny i nie dudni, nie typie
pepik – panienki, panie, nie jestem godzien*

pepik pisze kartkę do mamy i taty

i nie wie jak pod świątecznym obrazkiem zmieścić
najważniejsze życzenia. chciałby je znać, ale żeby je
poznać, musiałby znać najważniejsze pytania
i najważniejsze zdarzenia, a te dopiero przyjdą,
uspokaja go starszy żulik znad zasiarczonego źródła.

oczajduszo, myśli pepik, i wnet koncypuje, czym ma oczać
dusza, skoro oko siebie nie zauważa, nie słyszy siebie ucho?
czy to znaczy, że dusza to nigdy oko, że przenigdy ucho,
tylko, że poza nimi? a jeśli poza - to gdzie? dlaczego nie mogę
duszać duszy, sroży się pepik, posiorbuje i kartkę na święta
przesuwa ukradkiem poza krąg wotowego światła,
tak, żeby nie widzieć troskliwego i sympatycznego
pisma, które ma w sobie - serio, kurza noga – życzenia

list pepika do świętego mikołaja

ten dekretując przytrzymała dłużej: do mikołaja,
jednego z moich świętych. nie byłaby bożą,
gdyby jej stempel nie prześwietlił koperty,
aż do jasnych loków i prośby w połowie tahomą
w ćwierci tajmsem (nad podziw rzeczowej i śmiałej):

„mikołajku, starzę się prędko i za uszami też jakby
więcej niż niemało. być może dotrze ten karteluszek
i nie przechwyci go anioł, ani przypadkiem
poeta nie znajdzie go w skrzynce lub gamoń.
cicho tu u mnie i kubańskie romanse też jakoś
zamilkły w połowie kaskady. mikołaju, zdurniałem,
ale chciałbym jak kiedyś pytać czworonożne lata:
ilu aniołów cliwi ocean, że tak się burzy? i ile burz
w oceanie można zanurzyć? z ilu zanurzeń bierze się
marzenie? i czemu z marzeń rodzą się wynurzenia?

wiele mam jeszcze pytań i wszystkie wciąż zbyt złożone,
ze zbyt siwaśnych włosów zaplecione. nie, nie o czas mi chodzi,
ani o życie nowe, mikołaju – nie, chodzi o rozmowy,
które jak wróble sfrunęły z wypływającej w szkwał czajki.
bozi nie wspominaj, dość ma ważniejszych zmartwień“

pod tym parafa i szlaczek, a pod nim dwa jeszcze
i fafik, kiwką pasteli muśnięty w czoło. i niżej jeszcze
najczelustniejsza z pieczęci anioła: „ocenzurowano“.

hurgo więzi pepika i czyni go piękniejszym

ale zanim do tego dojdzie, zastawia przemyślną
pułapkę, pomniejszą realistyczną matnię
z zapalkowych strzał, włóczy z bibułki
i rozradowanego dryfu twarzy w nadrealne
dwa talenty tytoni później, do liliputu

eskortują go w pętach skarłałe do kciuków
roty i sotnie piewców, wszystkie o rysach
kamei. na polerce rozleje się zaraz obraz
lektyki więźnia, bezendorfera o firmowo
pociemniałym cantus migrans podzielonym

na firmowo ociemniałą kontrklawiaturę
i zawieszoną nad nimi jak gryf maleńką
postać, kierunek nie wskazanej podróży, z dłutem:
- wbijcie mu nagość i niech przechadza się pod
arkadami - decyduje spokojnym głosem. i wbijają

pepik pisze skargę do Baroneta Złudzeń

siedenastowierszowym sonetem, którego ostatnia stanca
przeciwstawia się wcześniejszym jak oczeret, szkwał, niuś
niuś innym antagonistom. żebyż to była skarga pierwsza
lub finalna pepik mógłby wówczas modlić się lub splunąć

na lusterko z mestre, fałszywe, choć ciemne. repetycje, wzory
i wszystkie modele chciałyby powierzyć łajzie pepikowej
sekret dóbr książęcych i królewskich traktów,
ale przede wszystkim fizys rannych oraz martwych cieni

tam gdzie dotkną palce i cofną się w szale, udając skupienie -
tak sobie budyniem marzył swoją skargę na surowym blacie
nasz seryjny heros, don pepi z komańczy, a może z mosiny

niech aojda wstanie z doliny senegal i przekreśli głosem
niepotrzebną strofę, która tak zajmuje uczucia pepika,
niech zanuci Soo tooge ma toog daanu dēj callweer

zanim na tę skargę baronet odpowie piękniejszym mirażem

wiatr poderwał pepikowi szalik

i przesłonił mu oczy, więc kula się z mokrym nosem
woźną i wodną albo inną zziębniętą pod atlantykiem
chmur. śledzi bezwzrocznie przeszłość, tralki balustrady,
poręcze, łańcuchy, gwoździe i ankry spinające mury, całą
metalową konfekcję ulicy. niespiesznie, oddychając
miarowo, dłonie łazika schwytają pukiel cherubina (ginie
opar złoty w świetlistograficznym, sypią się pióra).

będzie nagi, wiatr poderwie pepikowy szalik, ale anioł
będzie ganc-tuti nagi, kiedy uroczyście obedrze go
ze skóry. pójdę już, myśli pepik odrywając się z trudem
od kaźni i kula się wodną i woźną na ośle. niechże wiatr
wskrzesi go i wiedzie w gniewie ze świetlistymi pazury
między ludzi - żegna się najzarliwiej, zostawiwszy kadr
za plecami jak wszystkie kadry, poprawia szalik. i do mnie

pani krapp zaprosiła pepika,

żeby ją wyręczył w konaniu.
pepik przesłuchuje dekady,
których nigdy nie utrwalił,
uodparnia się i dorysowuje

wąsy ceniom, długachne. mówi o tym flamie,
napomyka mamie, i słucha stereo przymykając

oczy. tyle wykonał czynności i wciąż nie wie,
który dla niego świat bębni, bisuje i po co
("płynie sobie limpopo" niedbale maca panią

kompot pan potop). włóczykij z wiotczającą
fałdą testuje oddech koturnem i szuka
na murze konturu duszy, ale cienie odeszły

zostawiwszy dorysowane wąsy słońcu -
aż ktoś za nimi pobiegnie, pobiegnie, pobiegnie

miszcz kukielek wyzywa pepika na kapsle,

w których jest jeszcze większym miszczem. dokładnie rysuje linię startu, dłubie dołek i woła pepika przez aparat gminny, gdy w dalekiej bolonii jego brat bliźniak klei żołnierzyki (tam grywają w bołę prawdziwi mistrzowie i słuchają oper, rozmarza się miszcz przegięty w rzucie, a my tu z jutiuba znamy te wzruszenia - i do dołka trafia kapslem po red bullu). jest zadowolony z własnego pomysłu na wernisaż skansenu, we współpracy z sobą, samoistnym miszczem każdej prawie sztuki, o czym prawie wiedzą w bolonii i w padwie (tam gdzie grają w bołę prawdziwi mistrzowie – znów trafia do dołka, tym razem rzut lobem). pepik patrzy na to z niemałym podziwem, apollińskie ruchy i brachego oko, wszystko tak kunsztownie zespolone w geście rzutu kapslem w dołek lub wiązania sznurka do pleców kukielki! (mistrzom i miszczowi ich należne miejsce – z radością oddaje)

miliard pepików słucha o czym cyka radyjko

i dowiaduje się o profetycznej istotności traumy.
jest rzeczą zbawienną, gdy zdjęty przecuciem
życiowej porażki gajcujesz po fajkę wlokąc swoje gnaty
przez kazimierz, wilkę, chwaliszewo, tylkę. sfera armilarna
twojej samotności ogromnieje wedle drogerii, mięsnego,
przed kinem apollo i rychle zakończy ją wytrysk naturalnych
eposów o jedności spermy i braku piątała na browca.

chuj wam w dupę myśli jeden z miliarda pepików,
potniecie mnie muszlami ostryg w jednej z waszych
świątyn. nie żyjecie wcale, wiecznie się migacie
od życia na skalę większą niż podziałka mikrogo
aerometru: knajpka, knajpeczka, imprezka, kacyk.
i tak też piszecie werseciska o bzdecie, zblazowane, skomlące

jak piesek na sznurku pod żabką w listopadowe byleco.
że wiersz bierze się z życia słyszeliście kiedyś,
na jakimś konkursie, popierdziawie mistrzów, w lizusowskiej
norze nazwanej redakcją, ale złudzeń własnych bibliotekę
przeżyć - nie było wam dane, bo złudzenia mierne.
więc wegetujecie, chodź, chodź wam się roi, głogi, lody,
sójki, pety, molekuly, wszystkie wynędzniałe metafory duszy
zbyt nędznej, by przepoczwarzyć owdowienie woli -

i taką mdłą papkę chcecie rozeterzać i diamdziejąc wieszczyć?
kogo dorzycacie takim stylem życia? żyjących czy siebie,
nawet powtórzenia niezdolni przetworzyć brniecie w dzień
jesienny identyko z sobą, z misją permanentną
nawrócenia schadzki nad zgwałconą rzeką - gdzie
nie doświadczacie, nie wegetujecie, lecz jesteście obok
jak duchowy zbrodniarz, plód wygody i lęku, swojej piątej klepki,

entej swojej książki. i tak serdecznymi sobie młynka kręcąc,
wskazującym mówię: adieu, moi mili, żeśmy się bawili, użyli,
dupczyli, ale moja dykta wysoko mnie niesie w miłość, zdradę,
euforię i lęk - najprawdziwiej w nieświecie. o hypatię pytajcie
murszejące strony, przymierzajcie usta, przymierzajcie oczy,
przymierzajcie wszystko, co was przymierzyło. kwilcie, kwilcie.
a ja dam się mielić, niechże mnie zaboli, wyzwoli i spuści. nara.